

ZYCLIE
VIOLETTE

VALÉRIE
PERRIN

ALBATROS

Tytuł oryginału:
CHANGER L'EAU DES FLEURS

Copyright © Éditions Albin Michel, Paris 2018
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Wojciech Gilewski 2022

Redakcja: Aleksandra Żdan

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Liternictwo tytułu: Designed by rawpixel.com/Freepik

Ilustracja (*kwiaty*): Designed by rawpixel.com/Freepik

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



I

Jednej istoty brak i taka pustka

Moi najbliżsi sąsiedzi niczego się nie boją. Nie mają kłopotów, nie zakochują się, nie obgryzają paznokci, nie wierzą w przypadki, nie składają obietnic, nie hałasują, nie mają ubezpieczenia społecznego, nie płaczą, nie szukają kluczy, okularów, pilota, dzieci, szczęścia.

Nie czytają, nie płacą podatków, nie są na diecie, nie mają żadnych preferencji, nie zmieniają zdania, nie ścielą łóżek, nie palą, nie robią list zakupów, nie zastanawiają się, zanim coś powiedzą. Nie mają zastępców.

Żadni z nich wazelinarze, nie są ambitni, nie zachowują uraz, nie bywają kokieterjani, małostkowi, szczodrzy, zazdrośni, zaniedbani, czyści, egzaltowani, śmieszni, nie są ćpunami, sknerami, nie możemy powiedzieć o nich: uśmiechnięci, cwani, brutalni, zakochani; nie bywają zrzedami, hipokrytami; nie szcharakteryzujemy ich jako łagodnych, twardych, miękkich czy złośliwych, nie są kłamczuchami, złodziejami, hazardzistami, chojrakami, leniuchami, w nic nie wierzą, nie są zboczeńcami czy optymistami.

Nie żyją.

Jedynie, co ich różni, to drewno, z którego wykonane zostały ich trumny: dębowe, sosnowe lub mahoniowe.

2

*Kim mam zostać, jeśli nie słyszę już Twoich kroków, nie wiem,
czy to Twoje życie odchodzi, czy moje*

Nazywam się Violette Toussaint. Byłam dróżniczką, a teraz jestem dozorczynią na cmentarzu.

Delektuję się życiem, piję je małymi łyčkami niczym herbatę jaśminową z miodem. A gdy nadchodzi wieczór, kiedy cmentarne bramy są zamknięte, a klucz wisi w moim mieszkaniu na drzwiach do łazienki, jestem w raju.

Nie w tym samym raju co moi najbliżsi sąsiedzi. Nie.

W raju dla żywych: łyčzek porto – rocznik 1983 – które José-Luis Fernandez podrzuca mi każdego roku pierwszego września. Resztką wakacji w małym kryształowym kieliszku, babie lato. Niezależnie od tego, czy pada deszcz, sypie śnieg, czy wieje wiatr, około siódmej otwieram butelkę.

Dwa naparstki krwistego, rubinowego trunku z winnic Porto. Zamykam oczy. Delektuję się. Jeden łyčzek wystarczy, żeby umilić mi wieczór. Dwa naparstki, bo lubię upojenie, ale nie alkohol.

José-Luis Fernandez składa kwiaty na grobie Marii Fernandez, z domu Pinto (1956–2007), raz w tygodniu, ale nie w lipcu, wtedy robię to ja. Stąd to porto, żeby mi podziękować.

Każdy mój dzień to prezent od niebios. Tak też sobie mówię codziennie rano, gdy otwieram oczy.

Byłam bardzo nieszczęśliwa, załamana nawet. Nie istniałam. W środku pustka. Czułam się jak moi najbliżsi sąsiedzi, nawet gorzej.

Funkcje życiowe działały, ale beze mnie. Nie czułam ciężaru swojej duszy, która waży – zdaje się – niezależnie od tego, czy ktoś jest gruby, czy chudy, duży czy mały, młody czy stary, dwadzieścia jeden gramów.

Ale ponieważ nigdy nie miałam skłonności do dramatyzmu, postanowiłam, że tak dalej być nie może. To nieszczęście musi się przecież kiedyś skończyć.

*

Życie zaczęło się dla mnie bardzo źle. Urodziłam się jako X w Ardenach, na północy departamentu, w zakątku, który graniczy z Belgią, tam gdzie klimat określa się jako „kontynentalny surowy” (silne opady jesienią i częste przymrozki zimą), tam gdzie – jak to sobie wyobrażam – powiesił się kanał Jacques’a Brela*.

W dniu, w którym się urodziłam, nie wydałam z siebie głosu. Odłożono mnie na bok niczym paczkę. Waga: dwa kilogramy sześćset siedemdziesiąt gramów, brak znaczka, brak adresata. Tak czekałam, aż wypełnione zostaną papiery administracyjne potrzebne do zgłoszenia, że odeszłam, zanim się pojawiłam.

Narodziny martwego dziecka, bez życia i bez rodziny.

Akuszerka musiała mi naprędce znaleźć jakieś imię, żeby móc coś wpisać do papierów, wybrała więc Violette**.

Wyobrażam sobie, że taka właśnie byłam – cała sina.

Kiedy nabrałam kolorów i jednak się zaróżowiłam, a ona musiała wypełnić akt urodzenia, nie zmieniła mi już tego imienia.

Położono mnie na kaloryferze. Skóra się rozgrzała. Łono matki, która mnie nie chciała, musiało mnie zmrozić. Ciepło przywróciło mi życie. I zapewne dlatego tak bardzo lubię lato – nigdy nie przepuszczam okazji, żeby się wystawiać na pierwsze promienie słońca, jestem jak

* Aluzja do słów piosenki *Le Plat Pays* Jacques’a Brela. Ardeny to region na granicy Belgii i Francji. W piosence Brela niebo nad Belgią jest tak smutne i wisi tak nisko, że nawet kanał się na nim powiesił.

** *Violet* (fr.) – fioletowy (także siny).

kwiat słonecznika.

Moje nazwisko panieńskie to Trenet – jak Charles Trenet. Nadała mi je ta sama akuszerka, która wybrała moje imię. Zdaje się, że lubiła słuchać jego piosenek. Tak jak ja je potem lubiłam. Przez długi czas uważałam go za swojego dalekiego kuzyna, kogoś w rodzaju wujka z Ameryki, którego nigdy nie widziałam. Kiedy się lubi jakiegoś piosenkarza, śpiewa jego piosenki, to trochę tak, jakby się było z nim spokrewnionym.

Toussaint* pojawiło się później. Kiedy wyszłam za Philippe’a Toussainta. Z takim nazwiskiem powinnam była mieć się na baczności. Ale istnieją przecież i mężczyźni o nazwisku Printemps**, którzy biją żony. Ładne nazwisko jeszcze nikomu nie przeszkodziło w tym, by zostać draniem.

Nigdy nie brakowało mi matki. Z wyjątkiem tych momentów, kiedy miałam gorączkę. Ciesząc się dobrym zdrowiem, rosłam. Pięłam się w górę, tak jakby brak rodziców prostował mi kręgosłup. Noszę się prosto. To moja cecha szczególna. Nigdy się nie garbię. Nawet kiedy mam wielkie zmartwienie. Często mnie pytają, czy uczyłam się tańca klasycznego. Odpowiadam, że nie. Że to codzienne życie zmusiło mnie do takiej dyscypliny, jakbym godzinami ćwiczyła przy poręczy i każdego dnia chodziła na czubkach palców.

* *Toussaint* (fr.) – Wszystkich Świętych.

** *Printemps* (fr.) – wiosna.

3

Nieważne, czy zabiorą mnie, czy moich bliskich, skoro i tak pewnego dnia każdy cmentarz staje się ogrodem

W 1997 roku, kiedy przejazd kolejowy zautomatyzowano, mąż i ja straciliśmy zatrudnienie. Pisali o nas w gazecie. Reprezentowaliśmy grono ostatnich pobocznych ofiar postępu – dróżnicy, pracownicy, którzy uruchamiali ostatni ręczny szlaban kolejowy we Francji. Dziennikarz zrobił nam zdjęcie, które zamieścił jako ilustrację do artykułu. Philippe Toussaint objął mnie nawet w pasie, przybierając odpowiednią pozę. Uśmiecham się, ale Boże, jakie ja mam na tym zdjęciu smutne oczy!

W dniu, w którym ukazał się ten artykuł, Philippe Toussaint wrócił z ANPE, agencji pośrednictwa pracy, która dziś już nie istnieje, w ponurym nastroju: uświadomił sobie, że będzie musiał w końcu coś robić. Przywykł do tego, że to ja we wszystkim go wyręczam. Jeśli chodzi o lenistwo, nikt go nie przebiję. Gdybym mogła je spieniężyć, byłoby niczym szóstka w totka i jackpot w jednym.

Chcąc podnieść go na duchu, podsunęłam mu artykuł: *Dozorca cmentarny, zawód z przyszłością*. Spojrzał na mnie jak na wariatkę. W 1997 roku codziennie patrzył na mnie w taki sposób. Czy to właśnie takim wzrokiem mężczyzna patrzy na kobietę, której już nie kocha?

Wyjaśniłam mu, że znalazłam to ogłoszenie przez przypadek. Że merostwo w Brancion-en-Chalon szuka małżeństwa, które mogłoby się zająć cmentarzem. Że zmarłych obowiązują sztywne godziny i że robią mniej hałasu niż pociągi. Że rozmawiałam już z merem, który

gotów jest nas zatrudnić natychmiast.

Mąż mi nie uwierzył. Powiedział, że nie wierzy w przypadki. Że woli zdechnąć, niż iść „tam” i zajmować się truposzami.

Włączył telewizor i zaczął grać w *Super Mario 64*. W tej grze chodzi o to, żeby złapać wszystkie gwiazdy z każdego ze światów. Ja chciałam złapać tylko jedną gwiazdę: tę dobrą. I tak też sobie pomyślałam, kiedy zobaczyłam, jak Mario biega bez ustanku, by uratować księżniczkę Peach, którą porwał Bowser.

Zaczęłam nalegać. Powiedziałam mężowi, że jak dostaniemy tę pracę, każde z nas będzie otrzymywać swoje wynagrodzenie, i to o wiele lepsze niż na przejeździe, że ze zmarłych da się wyciągnąć więcej niż z pociągów. Że dostaniemy śliczne służbowe mieszkanko, i to bez żadnych opłat. Że w końcu zmienimy tę rudere, w której żyjemy od lat, na coś przyzwoitego, co zimą nie nabiera wody niczym sklecona z kilku desek łódka i gdzie nawet latem nie bywa ciepłej niż na biegunie północnym. Że zaczniemy wszystko od początku i że właśnie tego nam potrzeba, że powiesimy śliczne firanki w oknach, żeby nie patrzeć na sąsiadów, krzyże, wdowy i całą tę resztę. Że te firanki to będzie taka granica pomiędzy naszym życiem a smutkiem innych. Mogłabym powiedzieć mu prawdę i wyznać, że te firanki byłyby granicą pomiędzy moim smutkiem a smutkiem innych. Co to, to nie. Niczego nie mówić. Niech wierzy w nowy początek. Będę udawać. Wszystko, żeby tylko się zgodził.

Chcąc go ostatecznie przekonać, obiecałam mu, że nie będzie musiał nic robić. Że trzech grabarze zajmują się już utrzymaniem porządku, grobami i wyglądem cmentarza. Że ta praca polega tylko na otwieraniu i zamykaniu bramy. Na obecności. A godziny nie są uciążliwe. Urlopy i weekendy równie długie jak wiadukt nad rzeką Valserine. I że ja zajmę się resztą. Całą resztą.

Super Mario przestał biegać. Księżniczka spadła w przepaść.

Przed snem Philippe Toussaint raz jeszcze przeczytał artykuł: *Dozorca cmentarny, zawód z przyszłością*.

Nasz przejazd kolejowy znajdował się w Malgrange-sur-Nancy. W tamtym okresie mojego życia nie miałam żadnego życia. Słusznie byliby powiedzieć: „W tamtym okresie mojej śmierci”. Wstawiałam, ubierałam się, pracowałam, robiłam zakupy, spałam. Brałam tabletkę nasenną. A nawet dwie. I więcej. I widziałam, że mąż patrzy na mnie tak, jakbym postradała zmysły.

Godziny pracy były potwornie uciążliwe. W dni powszednie jakieś piętnaście razy dziennie opuszczałam i podnosiłam szlaban. Pierwszy pociąg przejeżdżał o godzinie czwartej pięćdziesiąt, a ostatni o dwudziestej trzeciej zero cztery. Automatyczny sygnał dźwiękowy szlabanu wrył się w moją pamięć. Słyszałam go, jeszcze zanim się włączył. Ten piekielny ciąg należałoby jakoś podzielić, obsługiwać przejazd na zmianę. Ale jedyne, co Philippe Toussaint obsługiwał, to motocykl i ciała kochanek.

Oj tak, widok ludzi w wagonach wprowadzał mnie w rozmarzenie. Chociaż to były tylko małe pociągi regionalne, łączące Nancy z Épinalem, które na tej trasie zatrzymywały się wyłącznie w zabitych dechami wiochach, zazdrościłam tym mężczyznom i kobietom. Wyobrażałam sobie, że są umówieni na jakieś spotkanie, takie, jakie ja też bym chciała mieć.

*

Wyruszyliśmy do Burgundii trzy tygodnie po ukazaniu się artykułu o dozorcach cmentarnych. Szarzynę zamieniliśmy na zieleń. Asfalt na łąki, zapach smoły na przejeździe kolejowym na woń pól.

Dotarliśmy na cmentarz w Brancion-en-Chalon piętnastego sierpnia 1997 roku. Francja była na wakacjach. Wszyscy mieszkańcy wyjechali. Ptaszki szybujące zazwyczaj pomiędzy grobami przestały latać. Koty przemykające pomiędzy doniczkami kwiatów znikły. Było za gorąco nawet dla mrówek i jaszczurek, rozgrzane marmury parzyły. Grabarze wykorzystywali urlopy, nowi zmarli nie spieszyli się do grobów. Przechadzałam się samotnie alejkami, czytając nazwiska

ludzi, których nigdy nie poznam. A jednak od razu poczułam się tu dobrze. Na swoim miejscu.

4

*Byt jest wieczny, życie ulotne, nieprzemijająca pamięć będzie
jego przekazem*

Jeśli nastolatki nie wcisną gumy do żucia w dziurkę zamka, otwieram i zamykam ciężką bramę cmentarną.

Godziny otwarcia zmieniają się w zależności od pory roku.

Od godziny ósmej do dziewiętnastej w dniach od pierwszego marca do trzydziestego pierwszego października.

Od godziny dziewiętej do siedemnastej w dniach od drugiego listopada do dwudziestego ósmego lutego.

Nikt niczego nie postanowił w sprawie dwudziestego dziewiętego lutego.

Od godziny siódmej do dwudziestej pierwszego listopada.

Po odejściu męża – a dokładnie po jego zniknięciu – pozostałam na stanowisku sama. Nazwisko Philippe’a Toussainta zostało wpisane w ogólnokrajowym rejestrze żandarmerii jako „niepokojące zniknięcie”.

Horyzont wytycza mi paru innych mężczyzn. Trzej grabarze, Nono, Gaston i Elvis. Trzej właściciele zakładu pogrzebowego, bracia Lucchini, noszący imiona Pierre, Paul, Jacques. I ksiądz Cédric Duras. Zaglądają do mnie parę razy dziennie. Przychodzą wychylić kielicha albo coś przegryźć. Pomagają mi również przy warzywniaku, jak trzeba przenieść worki z ziemią próchniczą czy zreperować ciekący kran. Uważam ich za przyjaciół, a nie za kolegów z pracy. Nawet kiedy nie ma mnie w domu, mogą wchodzić do mojej kuchni, zrobić sobie

kawę, wymyć filiżankę i wyjść.

Grabarz to zawód, który wzbudza odrazę, niechęć. A przecież ci z mojego cmentarza to najłagodniejsi i najzabawniejsi ludzie, jakich znam.

Nono jest osobą, do której mam największe zaufanie. To człowiek prawy, który radość życia ma we krwi. Wszystko go bawi i nigdy nie mówi „nie”. Z wyjątkiem sytuacji, kiedy trzeba wziąć udział w pochówku dziecka. Zostawia „to” innym. „Tym, którzy mają do tego serce”, jak powiada. Nono podobny jest do Georges’a Brassensa i bawi go to, że jestem jedyną osobą na świecie, która mu mówi, że przypomina Georges’a Brassensa.

Gaston, ten to urodzony niezguła. Nieskładne ruchy. Wygląd pijaczyny, chociaż nie tyka alkoholu. W czasie pochówków staje pomiędzy Nonem i Elvisem, którzy ubezpieczają go, na wypadek gdyby stracił równowagę. Pod jego nogami ziemia stale się trzęsie. Gaston przewraca ludzi, sam upada, potrąca innych, następuje im na nogę. Kiedy do mnie wchodzi, zawsze się boję, że coś stłucze albo że się zrani. A ponieważ strach nie zażegnuje niebezpieczeństwa, nie było razu, by Gaston nie stłukł kieliszka albo się nie skaleczył.

Elvis, nazywają go tak po Elvisie Presleyu. Nie umie ani czytać, ani pisać, ale zna na pamięć wszystkie piosenki swojego idola. Bardzo źle wymawia słowa, nigdy nie wiadomo, czy śpiewa po angielsku, czy po francusku, ale wkłada w to całe serce. *Love mi tendeur, love mi trou...*

Różnica wieku dzieląca braci Lucchinich to niecały rok – trzydzieści osiem, trzydzieści dziewięć i czterdzieści lat. Już od wielu pokoleń zakład pogrzebowy przejmuje po ojcu syn. Bracia są też szczęśliwymi właścicielami znajdującej się w Brancion kostnicy, która przylega do budynku ich zakładu. Nono powiedział mi, że tylko jedna słuza oddziela część usługowo-handlową od trupiarni. Pograżone w żalobie rodziny przyjmuje Pierre, najstarszy. Paul jest tanatopraktykiem; urządził się w podziemiu. A Jacques kierowcą karawanu; ostatnia droga to on. Nono nazywa ich „apostołami”.

No i jest nasz ksiądz, Cédric Duras. Bóg ma dobry gust, choć nie zawsze jest sprawiedliwy. Od kiedy pojawił się ksiądz Cédric, wiele kobiet z okolicy doznało, zdaje się, boskiego objawienia. W niedzielne poranki ponoć coraz więcej wierzących pań siedzi w kościelnych ławkach.

Ja nigdy nie chodzę do kościoła. To jakbym sypiała z kolegą z pracy. Sądzę jednak, że więcej osób zwierza się mnie niż księdzu Cédricowi w konfesjonale. To w moim skromnym domu i na cmentarnych alejkach rodziny wylewają potoki słów. Po przyjeździe, przed wyjazdem, czasem i wtedy, i wtedy. Trochę tak jak zmarli. Oni – to ich milczenie, tablice nagrobne, wizyty, kwiaty, fotografie, sposób, w jaki zachowują się odwiedzający przed ich grobami – opowiadają mi różne rzeczy ze swego dawnego życia. Z czasów, kiedy żyli. Kiedy się ruszali.

W moim fachu ważna jest dyskrecja, umiejętność nawiązywania kontaktu, brak współczucia. Tylko że dla takiej kobiety jak ja wyzbycie się współczucia jest równie osiągalne jak zostanie astronautką, chirurgiem, wulkanolożką czy genetyczką. Nie umiem sobie tego wyobrazić, a co dopiero naprawdę zdobyć się na nieokazywanie współczucia. Ale nigdy nie płaczę w obecności odwiedzających. Zdarza mi się to przed pochówkiem albo po nim, nigdy w trakcie. Mój cmentarz ma trzysta lat. Osoba, którą pochowano tu jako pierwszą, była kobietą. Diane de Vignerón (1756–1773) zmarła w połogu w wieku siedemnastu lat. Opuszkami palców można jeszcze wyczuć litery jej nazwiska wyryte w surowym kamieniu płyty nagrobnej. Nie została ekshumowana, chociaż na moim cmentarzu brak miejsc. Żaden z kolejnych merów nie odważył się podjąć decyzji o zakłóceniu spokoju pierwszej pochowanej tu nieboszczki. Tym bardziej że postać Diane osnuta jest legendą. Według mieszkańców Brancion miała się ona jakoby ukazać kilkakrotnie w „świątlistych szatach” w środku miasta w witrynach sklepowych i na cmentarzu. Kiedy szperam na strychach w okolicy, znajduję czasem ryciny pochodzące

z osiemnastego wieku i stare pocztówki, na których Diane została przebrana za zwyczajną, tandetną zjawę.

Wiele jest legend o grobach. Ludzie często wymyślają umarłym życie.

Brancion ma jeszcze drugą legendę, o wiele młodszą od tej o Diane de Vignerón. Dotyczy Reine Duchy (1961–1982) pochowanej na moim cmentarzu w alejce numer piętnaście, w kwartale Cedrów. Przystojna młoda brunetka uśmiechająca się ze zdjęcia umieszczonego na steli. Zginęła w wypadku samochodowym przy wyjeździe z miasta. Młodzi ludzie widywali ją jakoby na poboczu drogi, w miejscu wypadku, ubraną na biało.

Mit „białych dam” znany jest na całym świecie. Zjawy kobiet, które zginęły w jakimś wypadku, nawiedzają ponoć świat żywych, a ich nieznające spokoju dusze błakają się po zamkach i cmentarzach.

Popularność tej legendy podbiło przemieszczenie się grobu Reine. Zdaniem Nona i braci Lucchinich doszło do tego wskutek osunięcia się ziemi. Dzieje się tak często, kiedy w komorze grobowej zbierze się zbyt dużo wody.

W ciągu dwudziestu lat widziałam dużo rzeczy na moim cmentarzu. Bywają noce, podczas których na grobach albo pomiędzy nimi można dostrzec cienie uprawiające seks, ale nie należą one do zjaw.

Oprócz legend nic nie jest wieczne, nawet prawo do dysponowania grobem. Można wykupić miejsce na piętnaście, trzydzieści, pięćdziesiąt lat albo na zawsze. Ale do tego „zawsze” trzeba podchodzić nieufnie: jeżeli po trzydziestu latach o nabyte bezterminowo miejsce przestanie się dbać (na przykład nagrobek popadnie w ruinę) i od dawna nikogo na nim nie pochowano, gmina może je odzyskać; szczątki zostają wówczas złożone w ossuarium, w głębi cmentarza.

Od kiedy tu przyjechałam, widziałam niejedno takie przejęcie. I nigdy nikt nic nie powiedział. Takich nieboszczyków traktuje się jak rzeczy znalezione, o które nikt się nie upomniął.

Tak to już bywa po śmierci. Im odleglejsza w czasie, tym mniej obchodzi żyjących. Czas pozbawia życie blasku. Czas pozbawia blasku śmierć.

Razem z grabarzami robię wszystko, żeby nigdy żaden grób nie wyglądał na zaniedbany. Nie możemy znieść widoku zawiadomienia władz miasta: *Grób ten zostanie przejęty. Uprasza się o pilny kontakt z merostwem.* A przecież nazwisko nieboszczyka, który tam spoczywa, wciąż się na nim znajduje.

I dlatego też zapewne na cmentarzach pełno jest epitafiów. Mają one zaklinać czas. Pomagają uczepić się wspomnień. Najbardziej lubię to: *Śmierć zaczyna się wtedy, kiedy już dla nikogo nie możesz być obiektem marzeń.* Znajduje się na grobie młodej pielęgniarki, Marie Deschamps, zmarłej w 1917 roku. Zdaje się, że to jakiś żołnierz umieścił tę tablicę w 1919 roku. Za każdym razem, kiedy przechodzę obok, zastanawiam się, czy długo o niej marzył.

Cokolwiek robię, gdziekolwiek jestem, zawsze mam Cię przed oczyma, myślę o Tobie na grobie Jeana-Jacques'a Goldmana i *Gwiazdy rozmawiają między sobą jedynie o Tobie* na grobie Francisca Cabrela to słowa piosenek najczęściej pojawiające się na tabliczkach nagrobnych.

Mój cmentarz jest bardzo piękny. Alejki snują się w cieniu stuletnich lip. Groby są w znacznej części ukwiecone.

Przed moim skromnym domkiem stoi parę doniczek z kwiatami, które sprzedają. A kiedy kwiaty nie nadają się już na sprzedaż, zanoszę je na zaniedbane groby.

Posadziłam też trochę sosen. Ze względu na ich zapach w lecie. Jest to moja ulubiona woń.

Posadziłam je w roku 1997, kiedy tu przyjechaliśmy. Bardzo się rozrosły i dzięki nim mój cmentarz wygląda pięknie. Utrzymywanie cmentarza to dogłądanie zmarłych, którzy tu spoczywają. Okazywanie im szacunku. Jeśli nie doświadczyli go za życia, to przynajmniej cieszą się nim po śmierci.

Jestem pewna, że leży tu wielu łajdaków. Ale śmierć nie wybiera

pomiędzy dobrymi i złymi. No i kto nie dopuścił się łajdactwa chociaż raz w życiu?

*

W przeciwieństwie do mnie Philippe Toussaint od razu znienawidził ten cmentarz, to miasteczko, Burgundię, wieś, stare kamienie, białe krowy, tutejszych ludzi.

Jeszcze nie zdążyłam rozpakować kartonów po przeprowadzce, a on już zaczął wyjeżdżać motorem rano i wracać wieczorem. Po paru miesiącach zdarzało mu się znikać na całe tygodnie. Aż do dnia, kiedy już więcej nie wrócił. Żandarmi nie rozumieli, dlaczego nie zgłosiłam jego zaginięcia wcześniej. Nie powiedziałam im, że już lata temu zniknął, nawet jeśli jadał jeszcze kolację przy moim stole. Gdy jednak po upływie miesiąca zrozumiałam, że nie wróci, poczułam się równie opuszczona jak te groby, o które regularnie dbam. Równie szara, bez wyrazu i rozchwiana. Gotowa do rozbiórki i przeprowadzki do ossuarium.

5

Księga życia to najważniejsza księga, której nie można ani zamknąć, ani otworzyć, kiedy się chce; chciałoby się wrócić do ulubionych fragmentów, a tu pod palcami już pojawia się strona, na której przychodzi śmierć

Philippe'a Toussainta poznałam w Tibourinie, klubie nocnym w Charleville-Mézières, w 1985 roku.

Siedział przy barze wsparty na łokciach. A ja byłam barmanką. Imałam się każdego zajęcia, oszukując w sprawie wieku. Kumpel z ośrodka, w którym mieszkalam, sfałszował moje papiery, żeby zrobić ze mnie pełnoletnią.

Trudno było mi przypisać jakiś wiek. Mogłam mieć równie dobrze czternaście jak dwadzieścia pięć lat. Nie nosiłam dżinsów ani T-shirtów, miałam krótkie włosy i mnóstwo kolczyków. Nawet w nosie. Byłam drobnej budowy i malowałam oczy na czarno, żeby wyglądać jak Nina Hagen. Niedawno przestałam chodzić do szkoły. Nie umiałam dobrze czytać ani pisać. Ale umiałam liczyć. Wiele już przeszłam w życiu i moim jedynym celem było pracować, żeby móc opłacić czynsz za mieszkanie i jak najszybciej opuścić ośrodek. Potem się zobaczy.

W 1985 roku tylko uzębienie miałam bez zarzutu. Przez całe dzieciństwo obsesyjnie chciałam mieć piękne białe zęby, jak te dziewczyny z kolorowych magazynów. Kiedy pracownice socjalne odwiedzały moje rodziny zastępcze i pytały mnie, czy czegoś potrzebuję, systematycznie domagałam się wizyty u dentysty, jak

gdyby mój los i całe życie zależały od uśmiechu.

Nie miałam kumpelek, za bardzo przypominałam chłopaka. Przywiązywałam się do zastępczych sióstr, więc kolejne rozstania i zmiany rodzin były dla mnie ciężkim przeżyciem. Nigdy się nie przywiązywać! Mówiłam sobie, że krótko ostrzyżone włosy zapewnią mi ochronę, dadzą odwagę i butę chłopaka. Tak więc dziewczyny mnie unikały. Zdążyłam się już przespać z paroma chłopakami, żeby nie odstawać od reszty, ale bez żadnych uniesień; byłam raczej rozczarowana, nie pociągało mnie to. Robiłam to dla niepoznaki albo żeby dostać ciuchy, praskę haszu, jakąś wejściówkę, albo żeby mnie ktoś pottrzymał za rękę. Wolałam miłość z bajek dla dzieci, których mi nigdy nie opowiadano. *Pobrali się i mieli dużo, dużo, dużo...*

Wsparty łokciami o bar Philippe Toussaint przyglądał się tańczącym na parkiecie kumplom, sącząc ze szklaneczki whisky z coca-colą bez lodu. Wyglądał jak anioł. Jak Michel Berger w kolorze. Długie, kręcone blond włosy, niebieskie oczy, jasna cera, orli nos, usta koloru lipcowych dojrzałych truskawek... Nic, tylko jeść. Miał na sobie dżinsy, biały T-shirt i czarną ramoneskę. Był wysoki, dobrze zbudowany, doskonały. Gdy tylko go zobaczyłam, serce mocniej mi zabiło, jak w piosence mojego przyszywanego wuja, Charles'a Treneta. U mnie Philippe Toussaint miałby wszystko za darmo, nawet whisky z coca-colą.

Wcale nie musiał się starać, żeby obcałowywać te śliczne blondynki, które się wokół niego kręciły. Były jak muchy latające wokół kawałka mięcha. Philippe Toussaint sprawiał jednak wrażenie, jakby niewiele go to obchodziło. Nie musiał nawet kiwnąć palcem, żeby dostać, co chciał. Od czasu do czasu, między jednym a drugim fluorescencyjnym pocałunkiem, jedynie podnosił szklankę do ust.

Stał odwrócony do mnie plecami. Widziałam tylko te jego blond loki, które w świetle projektorów zmieniały kolor z zielonego na czerwony, z czerwonego na niebieski. Minęła dobra godzina, od kiedy jego włosy mnie zahipnotyzowały. Czasami pochylał się ku ustom

którejś z dziewczyn, gdy ta szeptała mu coś do ucha, a ja przyglądałam się jego doskonałemu profilowi.

W końcu odwrócił się twarzą do baru, spojrzał na mnie i już nie mógł oderwać wzroku. Od tej chwili stałam się jego ulubioną zabawką.

Początkowo sądziłam, że interesuje się mną z powodu darmowych drinków, które mu zapewniałam. Zadbłam o to, żeby w czasie, kiedy go obsługiwałam, nie widział moich poobgryzanych paznokci, tylko białe równiusieńkie zęby. Pomyślałam sobie, że wygląda na chłopca z dobrego domu, ale dla mnie każdy poza ośrodkiem sprawiał takie wrażenie.

Za nim klębił się rój adoratek. Powstał korek jak przy wjeździe na autostradę w pierwszy dzień wakacji. Ale on dalej patrzył na mnie pełnym pożądania wzrokiem. Stanęłam na wprost niego i oparłam się o bar, żeby zyskać pewność, że patrzy właśnie na mnie. Włożyłam do jego szklanki słomkę i podniosłam wzrok. Tak, patrzył na mnie.

Spytałam go: „Chce się pan napić czegoś innego?”. Nie usłyszałam jego odpowiedzi, więc przysunęłam się do niego, krzycząc: „Czego?!”. „Ciebie”, powiedział mi do ucha.

Nalałam sobie szklaneczkę burbona na koszt szefa. Po pierwszym łyku przestałam się czerwienić, po drugim dobrze się poczułam, po trzecim doznałam przyływu odwagi. Znów pochyliłam się nad jego uchem i powiedziałam: „Po pracy będziemy się mogli czegoś napić”.

Uśmiechnął się. Miał takie same zęby jak ja, białe i równe.

Kiedy Philippe Toussaint wysunął rękę przez bar, żeby dotknąć mojej, pomyślałam, że moje życie niedługo się zmieni. Poczułam, jak skóra cierpnie mi pod jego dotykiem – to było przeczucie. Miał dziesięć lat więcej niż ja. Ta różnica wieku powiększała dzielący nas dystans. Czułam się jak motyl wpatrujący się w gwiazdę.

6

*Nadchodzi bowiem godzina, kiedy w grobowcach
komemoratywnych wszyscy usłyszą Jego głos i wyjdą*

Delikatne pukanie do drzwi. Nikogo się nie spodziewam, od dawna już zresztą na nikogo nie czekam.

Dom ma dwa wejścia, jedno od strony cmentarza, drugie od ulicy. Éliane szczeeka, podbiegając do drzwi od strony ulicy. Jej pani, Marianne Ferry (1953–2007), spoczywa w kwartale Trzmielin. Éliane zjawiała się w dniu jej pogrzebu i już nie odeszła. Przez pierwsze tygodnie karmiłam ją na grobie jej pani i powoli zaczęła za mną chodzić, w końcu przyszła do domu. Nono dał jej imię Éliane, które nosiła Isabelle Adjani w *Morderczym lecie*, bo suczka ma śliczne niebieskie oczy, a jej pani umarła w sierpniu.

W ciągu dwudziestu lat miałam już trzy psy. Pojawiały się u mnie w tym samym czasie, co ich pan czy pani, i siłą rzeczy stawały się moimi psami. Jednak została mi tylko ona.

Znowu pukanie. Waham się, czy otworzyć. Dopiero siódma rano. Popijam herbatę, smarując grzanki solonym masłem i konfiturą z truskawek, którą dostałam w prezencie od Suzanne Clerc; jej mąż (1933–2007) leży w kwartale Cedrów. Słucham muzyki. Poza godzinami otwarcia cmentarza zawsze słucham muzyki.

Wstaję i wyłączam radio.

– Kto tam?

– Przepraszam panią, zobaczyłem światło – odpowiada mi męski

głos, pełen wahania.

Słyszę, jak gość szura nogami po wycieracze.

– Mam parę pytań na temat kogoś, kto leży na cmentarzu.

Mogłabym mu powiedzieć, żeby wrócił po ósmej, jak otworzę.

– Dwie minuty, zaraz wracam!

Wchodzę do pokoju na piętrze i otwieram szafę zimową, żeby włożyć szlafrok. Mam dwie szafy. Jedną, którą nazywam „zimową”, drugą „letnią”. To nie ma nic wspólnego z porami roku, ale z okolicznościami. W szafie zimowej trzymam tylko ubrania klasyczne, ciemne, takie dla innych. W szafie letniej – stroje jasne i kolorowe, takie dla mnie. Noszę lato pod zimą i zdejmuję zimę, kiedy jestem sama.

Wkładam więc szary pikowany szlafrok na szlafroczek z różowego jedwabiu. Schodzę otworzyć drzwi i widzę mężczyznę w wieku około czterdziestu lat. Początkowo dostrzegam tylko jego wlepione we mnie ciemne oczy.

– Dzień dobry, przepraszam, że tak wcześnie zakłócam pani spokój.

Jest jeszcze ciemno i zimno. Za nim widzę, że noc pokryła wszystko warstwą szronu. Z ust buchają mu kłęby pary, jakby wypuszczał dym papierosowy. Pachnie tytoniem, cynamonem i wanilią.

Nie jestem w stanie powiedzieć słowa. Tak jakbym zobaczyła kogoś, kogo dawno już nie widziałam. Myślę, że za późno do mnie przychodzi. Że gdyby się pojawił w moim progu dwadzieścia lat temu, wszystko wyglądałoby inaczej. Dlaczego tak myślę? Bo przez tyle już lat nikt, nie licząc nawalonych małych, nie zapukał do moich drzwi od ulicy? Dlatego że wszyscy goście przychodzą od strony cmentarza?

Zapraszam go do środka; dziękuje, wygląda na skrupowanego. Częstouję go kawą.

W Brancion-en-Chalon znam wszystkich. Nawet tych mieszkańców, którzy jeszcze nie mają u mnie swoich zmarłych. Każdy z nich chociaż raz szedł cmentarnymi alejkami, odprowadzając

przyjaciela, sąsiada czy matkę kolegi.

Ale jego nigdy jeszcze nie widziałam. Wyczuwa się u niego lekki akcent, ma taki śródziemnomorski sposób akcentowania zdań. Jest ciemnym brunetem, tak ciemnym, że jego nieliczne siwe włosy widać wyraźnie w mierzwie pozostałych. Długi nos, grube wargi, worki pod oczami. Podobny trochę do Gainsbourga. Widać, że golenie nie wychodzi mu najlepiej, ale za to ma wdzięk. Ma piękne dłonie, długie palce. Gorącą kawę pije małymi łyżkami, dmucha na nią i grzeje sobie dłonie od porcelany.

Wciąż nie wiem, dlaczego tu jest. Pozwoliłam mu wejść do domu, bo ta część tak naprawdę nie jest moim domem. To pomieszczenie należy do wszystkich. Coś jak miejska poczekalnia, z której zrobiłam kuchnię z salonem. Należy do wszystkich przygodnych gości i bywalców.

Mężczyzna sprawia wrażenie, jakby lustrował ściany. To wnętrze o powierzchni dwudziestu pięciu metrów kwadratowych wygląda tak samo jak moja zimowa szafa. Puste ściany. Żadnego kolorowego obrusa czy niebieskiej kanapy. Tylko sklejka i krzesła, żeby było na czym usiąść. Nic wystawnego. Ekspres do kawy zawsze gotowy do użycia, białe filiżanki i mocne alkohole dla zrozpaczonych. To tutaj grabarze przychodzą się wypłakać, zwierzyć, wyładować gniew, powzdychać, tu rozpaczają i tu się śmieją.

Na pierwszym piętrze mam sypialnię. Takie sekretne zaplecze, własne pielesze. Sypialnia i łazienka, dwie pastelowe bombonierki. Pudrowy róż, migdałowa zieleń i lazurowy błękit – moja własna interpretacja kolorów wiosny. Gdy tylko pojawia się promyczek słońca, otwieram na oścież okna. Z zewnątrz niczego nie widać, chyba żeby ktoś wszedł na drabinę.

Nikt nigdy nie przekroczył progu mojej sypialni, takiej jaką mam teraz. Zaraz po zniknięciu Philippe'a Toussainta całą ją odmalowałam, dołożyłam firanki, koronki, białe meble i wielkie łóżko ze szwajcarskim materacem, który dostosowuje się do kształtu ciała. Nie chciałam już

spać w miejscu, gdzie dawniej odcisnięty był kształt ciała Philippe'a Toussainta.

Nieznajomy ciągle dmucha w filiżankę.

– Przybywam z Marsylii – odzywa się w końcu. – Zna pani Marsylię?

– Każdego roku jeżdżę do Sormiou.

– Do zatoczki?

– Tak.

– Zabawny przypadek.

– Nie wierzę w przypadki.

Chyba czegoś szuka w kieszeni džinsów. Moi mężczyźni nie noszą džinsów. Nono, Elvis i Gaston chodzą zawsze w strojach roboczych, bracia Lucchini i ksiądz Cédric w spodniach z tergalu. Nieznajomy zdejmując szalik i odsłania szyję, odstawia pustą filiżankę na stół.

– Jestem taki jak pani, racjonalny... No i jestem komisarzem.

– Jak Columbo?

Po raz pierwszy odpowiada mi z uśmiechem na twarzy:

– Nie. On był inspektorem.

Opuszką palca wskazującego zbiera rozsypane na stole kryształki cukru.

– Moja matka chciała spocząć na tym cmentarzu, a ja nie wiem dlaczego.

– Mieszkała w okolicy?

– Nie, w Marsylii. Zmarła dwa miesiące temu. Spocząć tutaj to życzenie stanowiące część jej ostatniej woli.

– Przykro mi. Nalać panu kropelkę alkoholu do kawy?

– Ma pani w zwyczaju upijać ludzi tak wcześnie rano?

– Zdarza mi się. Jak się nazywa pana matka?

– Irène Fayolle. Chciała, żeby ją skremować... i żeby jej prochy złożyć na grobie niejakiego Gabriela Prudenta.

– Gabriel Prudent? Gabriel Prudent, tysiąc dziewięćset trzydzieści jeden–dwa tysiące dziewięć. Pochowany w alejce dziewiętnastej, w

kwartale Cedrów.

- Zna pani na pamięć nazwiska wszystkich nieboszczyków?
- Prawie.
- Datę zgonu, miejsce i tak dalej?
- Prawie.
- Kim był Gabriel Prudent?
- Jakaś kobieta przychodzi na jego grób od czasu do czasu... Jego córka, jak sądzę. Był adwokatem. Na czarnej marmurowej płycie jego pomnika nie ma żadnego epitafium ani zdjęcia. Nie przypominam już sobie dnia pochówku. Ale jeśli pan chce, mogę zajrzeć do rejestrów.
- Do rejestrów?
- Odnotowuję każdy pochówek i każdą ekshumację.
- Nie wiedziałem, że to należy do pani obowiązków.
- Bo nie należy. Ale gdyby tak robić tylko to, co należy, życie byłoby smutne.
- To zabawne usłyszeć coś takiego z ust... jak się ten pani zawód nazywa? Dozorca cmentarny?
- Dlaczego tak to pana dziwi? Myśli pan, że płacę od rana do wieczora? Że mam w sobie tylko łzy i smutek?

Podaję mu drugą kawę, a on dwukrotnie zadaje mi to samo pytanie:

- Mieszka pani sama?

W końcu odpowiadam, że tak.

Otwieram szuflady z rejestrami i zaglądam do zeszytu z 2009 roku. Szukam według nazwisk rodowych i od razu znajduję Prudenta Gabriela. Zaczynam czytać:

18 lutego 2009 roku, pogrzeb Gabriela Prudenta, ulewny deszcz.

Przy składaniu ciała do grobu było obecnych sto dwadzieścia osiem osób, a wśród nich jego była żona i dwie córki – Marthe Dubreuil i Cloé Prudent.

Zgodnie z wolą nieboszczyka żadnych kwiatów, żadnych wieńców.

Rodzina kazała umieścić na nagrobku tabliczkę, na której można przeczytać:

W hołdzie Gabrielowi Prudentowi, odważnemu adwokatowi. „Odwaga, w przypadku adwokata, to rzecz zasadnicza, bo bez niej reszta się nie liczy; talent, kultura, znajomość prawa, adwokatowi przydaje się wszystko. Lecz bez odwagi w decydującym momencie są tylko słowa, następujące po sobie zdania, błyskotliwe, ale ulotne” (Robert Badinter).

Bez księdza. Bez krzyża. Cała ceremonia trwała pół godziny. Kiedy dwaj pracownicy zakładu pogrzebowego umieścili trumnę w grobie, wszyscy sobie poszli. Ciągłe taki sam ulewny deszcz.

Zamykam rejestr. Komisarz wygląda na oszołomionego, zamyślonego. Przeczesał ręką włosy.

– Zastanawiam się, dlaczego moja matka chce leżeć blisko tego człowieka.

Przez pewien czas uważnie lustruje moje białe ściany, na których nie ma absolutnie nic do oglądania, po czym spogląda na mnie, jak gdyby mi nie dowierzał. Wzrokiem wskazuje rejestr z 2009 roku.

– Mogę przeczytać?

Zazwyczaj pokazuję swoje notatki tylko zainteresowanym rodzinom. Po kilku sekundach wahania w końcu podaję mu zeszyt. Zaczyna kartkować, a przewracając kolejne strony, patrzy na mnie, jak gdyby to na moim czole umieszczone były te słowa z 2009 roku. Jak gdyby ten zeszyt, który trzyma w ręce, był tylko pretekstem, żeby na mnie patrzeć.

– I robi pani tak samo przy każdym pogrzebie?

– Nie zawsze, ale prawie. Dzięki temu kiedy ci, którzy nie mogli wziąć udziału w pochówku, przychodzą do mnie, mogę opowiedzieć im wszystko, korzystając z notatek... Zabił już pan kogoś? Znaczący... w związku z pana pracą...

- Nie.
 - Ma pan broń?
 - Zdarza mi się, czasami. Ale teraz... dziś rano... nie.
 - Przywiózł pan prochy matki?
 - Nie. Na razie są w krematorium... Nie złożę tych prochów na grobie kogoś nieznanego.
 - Dla pana to nieznamy, ale nie dla niej.
- Wstał.
- Chciałbym obejrzeć grób tego człowieka.
 - Dobrze. Czy może pan wrócić za jakieś pół godziny? Nigdy nie wchodzę na cmentarz w szlafroku.

Uśmiecha się po raz drugi, wychodzi z mojej połączonej z salonem kuchni. Odruchowo zapalam górne światło. Nigdy tego nie robię, kiedy ktoś się zjawia; zapalam dopiero wtedy, gdy wychodzi. W ten sposób zastępuję jego obecność światłem. Dawne przyzwyczajenie dziecka urodzonego jako X.

*

Pół godziny później czeka na mnie w swoim samochodzie zaparkowanym przed bramą. Trzynastka na tablicy rejestracyjnej, departament Bouches-du-Rhône. Musiał przysnąć, złożył głowę na szaliku; ma ślad na policzku, który wygląda teraz na zmięty.

Na karminową sukienkę włożyłam granatowy płaszcz i zapięłam go pod samą szyję. Wyglądałam jak noc, a przecież pod spodem nosiłam dzień, by zamigotał; wystarczyłoby rozpiąć płaszcz.

Szliśmy alejkami. Powiedziała mu, że mój cmentarz ma cztery kwartały: Oleandry, Trzmieliny, Cedry i Cisy, dwa kolumbaria i dwie kwatery pamięci. Spytał mnie, czy już długo „to” robię, powiedziałam mu, że dwadzieścia lat i że przedtem byłam dróżniczką. Zapytał, jak to jest, kiedy się przechodzi od pociągów do karawanów. Nie za bardzo wiedziałam, co mu powiedzieć. Zbyt dużo się wydarzyło pomiędzy tymi dwoma odsłonami mojego życia. Pomyślałam tylko, że zadaje

dziwne pytania jak na racjonalnego komisarza.

Kiedy stanęliśmy na wysokości grobu Gabriela Prudenta, pobladł. Tak jakby przyszedł odwiedzić grób człowieka, o którym nigdy nie słyszał, ale który mógłby być jego ojcem, wujem, bratem. Trwaliśmy w bezruchu przez długą chwilę. W końcu zaczęłam chuchać w dłonie. Było bardzo zimno.

Zazwyczaj nie zostaję przy grobie. Prowadzę tych, którzy o to proszą, na miejsce i wycofuję się. Ale tym razem, nie wiem czemu, nie mogłam zostawić tego mężczyzny samego. Po chwili, która wydawała mi się wiecznością, powiedział, że już pojedzie. Wróci do Marsylii. Gdy zapytałam, kiedy przyjedzie, żeby złożyć prochy matki na grobie pana Prudenta, nie odpowiedział.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).